

Z ogromnym żalem dowiedzieliśmy się z łamów „Rzeczypospolitej” o odejściu

- MICHAŁA GUTOWSKIEGO -

Generała bryg. w stanie spoczynku, wspaniałego jeźdźcy, wielkiego miłośnika koni. Olimpijczyka z 1936 roku, Oficera Pierwszej Polskiej Dywizji Pancerniej gen. Maczka, Członka Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari. Za zasługi bojowe odznaczonego: Orderem Virtuti Militari, pięciokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta z Gwiazdą, francuską Legią Honorową, CROIX de Guerre z Palmą, Legion of Merit.

Nasza redakcja miała szczęście poznać Generała przed trzema laty podczas Świąta Wilanowa w Warszawie. Był stałym uczestnikiem - gościem popisów kawalerii podczas obchodów wilanowskich. Gdy Go poznaliśmy miał 92 lata, zadziwiał intelektem, błyskotliwością. Był wspaniałym gawędziarzem.

Jego życie było dowodem, że zawsze można być wiernym Ojczyźnie, solidarnym z rodakami i oddanym swojej pasji.

Łączymy się w żalu i składamy wyrazy współczucia Rodzinie, Bliskim i wszystkim którzy Go znali.

W Jego Osobie utraciliśmy prawdziwego Patriotę polskiego.

Cześć Jego Pamięci!



Młodziak na bolszewiku

Rozmowa z Generałem Michałem Gutowskim

przeprowadzona przez redakcję miesięcznika „Mój Wilanów” w roku 2003.

Jest Pan członkiem kapituły Orderu Virtuti Militari, weteranem i bohaterem II Wojny Światowej, wciąż czynnym kawalerzystą. W całym życiu towarzyszył Panu koń...

To prawda, bo w naszym rodzinnym majątku Blaszkę koło Kalisza, gdzie urodziłem się w 1910 roku, rodzice mieli dwie miłości: konie i Sienkiewicza, którego powieści namiętnie czytywali. Pierwszą powieścią, jaką w życiu przeczytałem, był „Pan Wołodyjowski”. Myśmy z braćmi wyobrażali sobie, że jesteśmy żołnierzami, że tocymy bohaterskie walki gdzieś na Dzikich Polach.

A pierwszy raz siedziałem na koniu, kiedy skończyłem rok.

Jeździł Pan na koniu, mając zaledwie rok?

Tak zaczynała cała moja rodzina. Dziś to wzbudza zdumienie, ale proszę mi wierzyć, że wtedy to nie było nic nadzwyczajnego. Mój ojciec był bardzo wymagającym człowiekiem i moi bracia, którzy radzili sobie na koniu gorzej niż ja, pomimo wielu upadków, nie mogli nawet okazać zniechęcenia. Płacz i mazgajstwo były nie do pomyslenia. Takie stosowano wtedy metody wychowawcze, których skutkiem jest to, że nabywaliśmy charakter i silną wolę.

Jak Pan trafił do polskiej kawalerii?

To śmieszna historia. W 1920 roku, kiedy armia Tuchaczewskiego zagrażała Warszawie, na front ruszył mój ojciec. A za nim ja i brat, dziesięciolatki na naszych huculskich konikach, które zresztą nazywaliśmy bolszewikami, ze względu na pochodzenie tej rasy. Dotarliśmy do Kalisza, gdzie formował się pułk ułanów. Niestety, linia kolejowa szła przez posiadłość mojego ojca, który kazał zwolnić maszyniście i za kark wyrzucił nas z pociągu. Myślę, że to był początek mojej służby.

Ale później przeszedł Pan przeszkolenie kawalerskie?

Można powiedzieć że jestem wychowankiem Ułanów Jazłowieckich. Jako czternastolatek byłem świadkiem zawodów hippicznych we Lwowie i wtedy złożyłem sobie ślubowanie: chcę być za wszelką cenę członkiem polskiej ekipy olimpijskiej.

I w 1936 to mi się udało! Po ukończeniu korpusu kadetów, jako siedemnastolatek, wstąpiłem za zgodą rodziców do kawalerii. To zaważyło na całym moim życiu - niczego innego nie umiałem. Tylko jeździć konno i bić się.

Historia dała Panu szansę sprawdzenia tych umiejętności...

Dzień po kapitulacji Warszawy, pod Izabeliną, wjechaliśmy w kolumnę piechoty niemieckiej, która szła z karabinami na pasach, niczego się nie spodziewając. Myśmy w dwieście koni wjechali między nich. Co tam się działo! Żeby zobaczyć panikę wśród tych Szwabów, można by potem naprawdę już niczego więcej w życiu nie widzieć.

A Pana najbardziej dramatyczne wspomnienie?

Nocą atakowaliśmy bronione przez Niemców Walewice. Dostaliśmy ogień karabinów maszynowych z najbliższej odległości, dosłownie z dwudziestu kroków. Wtedy właśnie zabiłem pierwszego człowieka

w swoim życiu. Po wojnie, na jakimś przyjęciu w Kanadzie, spotkałem Niemca, który wtedy dowodził obroną. Twierdził, że wycofali się, bo obrona nie miała sensu z powodów taktycznych. Kiedy mu powiedziałem, że osobiście chowałem 87 poległych jego żołnierzy, pobladł i przyznał, że to był jego najcięższy bój w całej wojnie. Później przedostałem się na Zachód, walczyłem w dywizji pancerniej gen. Maczka, a za kampanii w Normandii dostałem Krzyż Virtuti Militari.

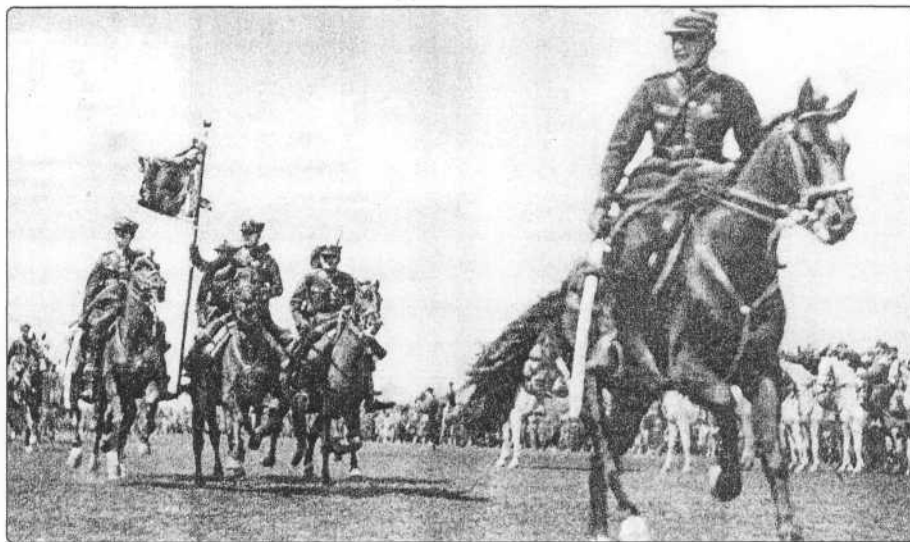
Po wojnie nie wrócił Pan do kraju. Dlaczego?

Przysięgaliśmy na sztandary, na których był orzeł w koronie i słowa: „Bóg, Honor i Ojczyzna”. A kiedy wojna się skończyła, polskie sztandary, tam w kraju, już nie miały tego orła tylko jakąś pokrakę, która bardziej przypominała zdechłą kurę niż dumnego królewskiego ptaka. „Bóg Honor i Ojczyzna” zostały usunięte i zastąpione przyjaźnią ze Związkiem Sowieckim. A czym był Związek Sowiecki, myśmy doskonale wiedzieli. Wiemy o Katyniu, o tragedii Powstania Warszawskiego. Dlatego dla nas powrotu nie było. To straszne, co powiem, ale liczyliśmy na nową wojnę, która pozwoli wyzwolić nam okupowaną ojczyznę. Jednak w miarę upływu czasu stawało się jasne, że musimy znaleźć sobie miejsce na obczyźnie, nauczyć się żyć na nowo. I tu też pomogła mi miłość do koni - przez wiele lat byłem w Kanadzie trenerem drużyny olimpijskiej.

Był Pan honorowym gościem Wielkiej Parady Kawalerii w Wilanowie. Jak ocenia Pan to wydarzenie?

Ze wzruszeniem dostrzegam, że w Polsce odradza się tradycja kawalerska. Dla mnie widok szarzy ułańskiej przywodzi na myśl wspomnienia najbardziej dramatycznych

i zarazem najwspanialszych chwil w życiu. Ale widziałem też entuzjazm i napięcie na twarzach młodych ludzi; widziałem dziewczyny, które nie kryły swego zachwyty. Myślę że to dobrze, że młodzież ma szansę doświadczać tego niezwykłego wzruszenia, które jest jednocześnie bardzo osobistą lekcją historii, tej najbardziej polskiej historii.



Polska kawaleria.